Nr. 27. We Lwowie dnia 4. lipca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



HERBERT SPENCER.

Świat posuwa się zawsze do ostateczności w ocenie ludzi. Albo ich bardzo przecenia, albo też zupełnie niedocenia“ — wyraził się raz Herbert Spencer, w motywach dlaczego nie chce wypowiedzieć zdania swego o Bismarku. Nam się zdaje jednakże, iż te dwie kategorje nie wyczerpują sposobów, w jakie publiczność traktuje wielkich ludzi. Jest jeszcze kategorja trzecia: Świat żywi się myślami, ideami, pomysłami i pracami genjusza, który staje się krwią i oddechem jego ducha, a równocześnie ten świat mało co zajmuje się osobą tego, któremu tyle zawdzięcza. Do tej trzeciej kategorji należy filozof angielski, najznakomitszy z filozofów naszego wieku, a kto wie, czy nie wszystkich wieków. Jego teorje, jego poglądy stały się do tego stopnia własnością wszystkich cywilizowanych ludów, normą ich myślenia, że dziś niepodobna wyobrazić nam sobie, że można było kiedy myśleć inaczej.

A mimoto niema nikogo, coby się nie „zatknął“, gdyby go się zapytano: „kto jest właściwie ten Spencer?“ — w znaczeniu: jakiem jest jego życie, jakie czynniki duchowe złożyły się na tę potęgę nad potęgami?

Dość powiedzieć, że niema ani jednej prawdziwej biografji tego myśliciela, jedyna bowiem mała broszurka o nim p. t. „Herbert Spencer — by D. G. Thompson, Boston-New Ideal Publishing Company“ zaledwo kilka mizernych szczegółów o nim zawiera.

Ponieważ zaś w tym roku Spencer skończył lat 77, a zarazem doprowadził do końca olbrzymie swe dzieło, zatytułowane „System syntetycznej filozofji“, złożone z długiego, bardzo długiego szeregu na pozór odrębnych dzieł, niechaj tych nie wiele szczegółów zaznajomi czytelników z człowiekiem, którego wyznawcą nieświadomym, jest już dzisiaj w znacznej części i nasze społeczeństwo, jak wszystkie narody cywilizowane.

Herbert Spencer urodził się w Derby dn. 27. kwietnia 1820 r. Jego ojciec był z rodu nauczycielem, a Herbert był jedynym z rodzeństwa, który przy życiu pozostał. Było to dziecko tak wątłe i chorowite, że nieśmiano go zbyt rychło obciążać nauką i dopiero jako siedmioletniego chłopaka nauczono go czytać. W szkole Herbert nie wyszczególniał się zbytnio; prosta pamięciowa nauka nużyła go a uczenie się języków szło mu opornie, natomiast świetnie mu się wiodło z geometrją, fizyką i rysunkami. W trzynastym roku zabrał Herberta do siebie stryj jego Tomasz Spencer, proboszcz w Hinton, w zamiarze przygotowania go do uniwersytetu. Herbert jednak obstawał przytem, że nie pójdzie na uniwersytet, woląc obrać zupełnie samodzielną drogę kształcenia się. Mając lat 16, został nauczycielem, wnet jednak porzucił to zajęcie i objął posadę przy budowie kolei z Londynu do Buckinghamu, w rok potem przy kolei londyńsko-glocesterskiej, gdzie pozostawał 11 miesięcy. Lata 1841 do 1850 wypełniły studja prywatne, funkcje po rozmaitych biurach technicznych, wynalazki, prace literackie, a wreszcie zastępstwo redaktora „Ekonomisty“.

Pierwszem dziełem, które zwróciło uwagę ogółu na Spencera, które jednakże on sam, dojrzawszy później, rad był wykreślić z listy prac swoich, była „Statyka społeczna“.

W latach 1850 do 1855 Spencer napisał znaczną liczbę „Szkiców filozoficznych“, między innymi „Teorję zaludnienia“, „Hipotezę rozwoju“, w której więcej niż o dwa lata wyprzedził w pokrewnych zapatrywaniach Darwina i jego „Powstawanie gatunków“.

W r. 1855 ukończył „Zasady psychologji“ pierwsze z jego wielkich dzieł, przy którego pisaniu przyszedł do przekonania, że jego teorja rozwoju, orzekająca, iż rozwój i postęp polega na przemianie od jednolitości do różnorodności, obowiązuje wszystkie nauki na świecie.

Ta jednak nadmierna praca zachwiała zdrowiem Spencera i dopiero w następnym roku przystąpił do ułożenia olbrzymiego dzieła „System filozofji syntetycznej“, którego wykonanie zapełniło całe jego życie, stawiając go na świeczniku filozofji świata. Rozpoczął ową pracę w r. 1856, a na całość składają się następujące dzieła: „Zasady filozofji“, „Zasady Biologji“, „Zasady psychologji“, „Zasady socjologji“ i „Zasady etyki“. Przez wszystkie te dzieła przebija się na olbrzymie rozmiary przeprowadzona hipoteza rozwoju, którą pierwszy Spencer całkowicie odczuł i do wszystkich gałęzi życia fizycznego i duchowego zastosował.

Mimo całej swej genjalności Spencer nie prędko doczekał się uznania. Owszem atakowano go z różnych stron i różnych stanowisk. Atakowali go konserwatyści i klerykali z łatwo zrozumiałych względów, że Spencer pierwszy rozgraniczył naukę od religji i każdej wskazał właściwe, nie sprzeciwiające się drugiej pole działania, atakowali go też socjaliści za indywidualizm i ograniczenie do minimum wpływu, jakie państwu na jednostkę wywierać wolno. Finansowo było wprost źle ze znakomitym filozofem: prenumerata na „System syntytycznej filozofji“ nie pokryła kosztów i Spencer już stracił nadzieję, aby mu się powiodło skończyć dzieło, kiedy nagle przyszła mu pomoc z Ameryki. Sprężyną była nieznana Spencerowi i nieznająca go osobiście — kobieta, Eliza Youmans, która przeczytawszy „Zasady psychologji“ zwróciła na Spencera uwagę swego, brata profesora, a ten skłonił nakładcę nowojorskiego Appletona, aby objął publikację dzieł angielskiego uczonego, a prócz tego oddano mu 7000 dolarów do dyspozycji, które Spencer użył na pokrycie kosztów dzieła „Socjologia opisowa“.

Nakładca na tem źle nie wyszedł, zrobił majątek. Spencera stosunki poprawiły się tak, że mógł poprzestać na samej pracy naukowej, która mu dawała mierne utrzymanie, a najlepiej wyszła na tym obrocie sprawy publiczność, dla której wydano pomnikowe dzieło, która też rok po roku coraz większym podziwem jego twórcę darzyć poczęła.

Od początku siódmego dziesiątka lat bieżącego stulecia Spencer mieszka w Londynie, który opuszcza tylko wtedy, jeśli musi poratować swe osłabione zdrowie przez podróże lub pobyt na wsi. Tak więc był w Egipcie i Ameryce, gdzie mu jego sława dość nieprzyjemnie dała się we znaki. W Baslington np. kiedy znużony do ostateczności podróżą wozową, jako chory położył się zaraz po przybyciu do łóżka, gromada gorąco krwistych a bezwzględnych jego wielbicieli, nie chcąc ani chwili zwlekać z wyrażeniem mu swego osobistego podziwu, szturmem zdobyła jego pokój.

Z wewnętrznego życia Spencera będzie można coś więcej podać dopiero na podstawie jego biografji, którą on po śmierci swej wydać pozwolił. Teraz tyle o nim wiadomo, że pozostał kawalerem, jak Mr. Thompson powiada, „widocznie dlatego, że nie miał czasu ożenić się.“

Mimo całego unikania tego, co się u ludzi nazywa sławą, Spencer nie jest wcale uczonym-odludkiem, owszem jest zwolennikiem towarzyskiego życia w szlachetnym stylu. Huxley i Tyndall byli jego serdecznymi przyjaciółmi, a także powieściopisarka, Mary Evans, (pisząca pod pseudonimem George Eliot), cieszyła się jego przyjaźnią. W klubie „Ateneum“, stowarzyszeniu wybitnych myślicieli, artystów i pisarzy, Spencer niemal codziennie bywa dla wytchnienia i należy do najgorliwszych bilardzistów.

Spokojny, łagodny, umie też być bezwzględnym, jeżeli chodzi o wyrzeczenie przekonania. Od zdania swego, skoro je uzna za słuszne, nigdy nie ustąpi, broni go do upadłego, a nigdy nie zawaha się publicznie go wyrazić, choćby to nie wiedzieć jaką wrzawę i oburzenie wywołało, jak to między innemi było ze zdaniem o Bismarku, z którego ustęp na czele przytoczyliśmy.

„Gdybym nawet był w możności — pisał tam — wyrzeczenia o niem zdania pochlebnego — nie uczyniłbym tego. Sławiono go już dosyć. Świat posuwa się zawsze do ostateczności w ocenie ludzi. Albo ich bardzo przecenia, albo też zupełnie nie docenia, ja w tym wypadku, podobnie jak w wielu innych, znajduję się w opozycji ze światem“.

Zdanie owo, wydrukowane w piśmie niemieckiem, które kwestjonarjusz o Bismarku rozesłało do znakomitości całego świata, ściągnęło na Spencera epitet „bezczelnego“ i tem podobne objawy germańskiej wytworności. To jednak w niczem nie uraziło filozofa, który zawsze przygotowany jest, że jego poglądy ściągną nań gromy.

Przy całej swej uczoności Spencer jest niesłychanie skromny. Gdyby któregoś z naszych „luminarzy“ zapytano o coś, na czem się nie zna, zasiadłby do wertowania rozmai-

tych podręczników i zręcznie namotałby kupę górnolotnych, a nic nieznaczących frazesów, aby utrzymać się w pozorze, iż żadne mądrości świata nie są im zatajone. Spencer jednak nigdy nie wstydzi się przyznać, że czegoś nie wie, że czegoś nie czytał.

„Żałuję bardzo — pisał do redaktora pewnego pisma francuskiego w odpowiedzi na podobny kwestjonarjusz o Renanie — że nic o znaczeniu Renana powiedzieć nie mogę, bom nigdy w życiu mojem ani wiersza z pism jego nie przeczytał...“

Tak pisze prawdziwy mędrzec.



Metampsychoza.

Mędrcze, w tajemnych księgach zatopiony,
Ty, co mi wróżysz kilkakrotne zgony
I kilkakrotne po zgonach ożycie.
Dłoń twoją zimną, na sercu mem złóż!
Czy słyszysz jego niespokojne bicie?
Teraz mi mędrcze, przyszłość mają wróż!

Albo nie! Zmilknij! Ja nie chcę wróżb czaru.
Przedemną własnych marzeń leży kraj —
I nieskończoności wysławiam obszaru,
Obrazy dziewne. — Daj mi marzyć! Daj!
Więc — kiedy życie ukończę śpiewacze,
Gdy w duszy zcichną wszystkich bolów płacze,
Przez krótką tylko, przez krótką chwilę
Niech śpię spokojnym snem
Spokój cmentarny niech mam w mogile
Po śpiewnem życiu tem.
A potem... gdy już nad ziemią moją
Buntu się zorza rozświeci...
Niechaj mnie nowe kształty przystroją...
I duch z mogiły wyleci...
I przez kraj wolny, przez wolną błoń,
Niechaj mnie niesie powstańczy koń!
Miesiąc się w jego mieni kopytach..
Pobudkę znaną trąby mi grają,..
Żołnierzy polskich krew
Na moskiewskich połyska dzirytach...
Po polu śmierci wiew
Przelata... i umierają..

Na polu bitwy z skrwawioną skronią
Niechaj nie leżą długo!
Trupy niech znowu stają pod bronią!
I ja niech wstanę na służkę drugą!
Niechaj mam żarem płonące oczy —
Rękę, co nigdy nie chybia celu,
I śmiało sztylet w pierś wrażą tłoczy!
Wrażej posoki struga niech mnie broczy!
A potem.. męka długa...
Potem... więzienny loch..
I szubienicy szloch...
Tak ich ginęło wielu..

Z pod szubienicy, jak czarny kruk,
W górę wyleci duch...
A gdy na ziemi wróci niziny,
Zniszczenia oznajmi go huk,
Zamętu szalony ruch,
Śmierć i ruiny...
I wtedy duch mój, duch niszczyciela
Wszystkie na ziemi pozrywa pęta,
Wszystkich tyranów poleje krew...
I jako wiosny ożywczy wiew
Wolność po ziemi powieje święta,
I myśli boże w życiu powciela!

Wtenczas, w tryumfu wielką godzinę
W Nirwanie Bożej niech się rozpłynę!

Wanda.

Błędy językowe.

36. Przez wpływ języków obcych, mianowicie niemieckiego i francuskiego, zdarza się u nas błędne używanie zaimków dzierżawczych, mianowicie: 1. Niepotrzebnie szafujemy niemi tam, gdzie zwyczaj językowy nakazuje je opuszczać; błędnie więc mówimy: Alfred zapiął *swój* paletot, odwiedziłem dziś *mojego* ojca, zabierz swój kapelusz itp, zamiast: A. zapiął paletot, odwiedziłem ojca, zabierz kapelusz itp.; w razach podobnych zaimek wtedy tylko jest potrzebny, gdy wypada wymienić dzierżawczość z pewnym naciskiem, dla uniknienia dwuznaczności. 2. Mylimy się często, używając *mój*, *twój*, *jego*, *jej*, *nasz*, *wasz*, *ich* zamiast *swój*. Prawidło brzmi następnie: Gdy chodzi o wyrażenie dzierżawczości, to jest własności i przynależytości, wtedy używać należy zaimków osobowo dzierżawczych *mój*, *twój* itd., lecz z takiem ograniczeniem: *swój* mówi się, zamiast *mój*, *twój* itd., zawsze o przedmiocie lub o dopełnieniu w zdaniu, gdy ten przedmiot lub to dopełnienie jest w ścisłej zależności od podmiotu (tj. gdy jest własnością lub przynależnością podmiotu) np. „kopię swój ogród“ (źle: „kopię mój ogród) „Idziesz do swojego ojca“, albo po prostu „do ojca“ (źle: „Idziesz do twojego ojca). „Wszyscy mamy swoje zdanie“ (źle: „Wszyscy mamy nasze zdanie“). „Widzieliście własną hańbę swoją“ (źle: „Widzieliście własną hańbę naszą“) itp. itp.

Po katastrofie kolejowej pod Kołomyją

z dnia 27. czerwca br.

(Według fotografji E. T. Jurkiewicza w Kołomyji).





ADOLF DYGASIŃSKI.

PAN REFERENT.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

Już teraz między referentem a resztą urzędników stanął tak wysoki i kolcami najeżony płot, że żadna strona nie myślałaby go przekroczyć. A Mordka nie przestawał tropić Ogrodzińskiego: wystawał przed biurem powiatu, zastępował mu drogę, czapkował, wszczynał rozmowę — taki ma zawsze dużo czasu wolnego. Obecnie zadziwiała go okoliczność, że referent jakoś przydługo bawi w aptece, i przez szybę szklaną w drzwiach lichwiarz parę razy zajrzał wewnątrz — taki lubi wszędzie zaglądać. Widział miły uśmiech na ustach prowizora, ale nie widział fizjonomji Walusia, co go korciło. Postanowił załgać się jakbądź do apteki. Uchylił drzwi, wsunął obnażoną już na ulicy z czapki głowę i — w kabłąk zgięty ciągłym ukłonem, uśmiechnięty, jak mógł najprzyjemniej — postąpił naprzód. Skarżył się na ból głowy, prosił o bezpłatną radę i o lekarstwo — taki na wszystko się odważy. Dwaj rozmawiający, jak gdyby nie widzieli kornego Czapnika, gawędzili w dalszym ciągu. Jako ludzie nastrojeni idealnie przez czytanie książek, poruszyli byli dziś już niejeden przedmiot, a prowizor właśnie w tej chwili wyrażał się z uniesieniem o przeróżnych brakach, które w Pińczowie musi znosić człowiek, mający potrzeby wyższej cywilizacji.

— To też z naszej dziury - mówił tonem cierpkim — nie można na świat wyjrzeć! Latem - dajmy na to — na kąpielach w Busku bawi dużo gości, bywają bale, koncerty, przedstawienia teatralne i mógłby człowiek zadowolić swoje potrzeby duchowe. Cóż kiedy nie mamy stałej komunikacji!... Słyszane rzeczy, żeby pomiędzy takiemi Kielcami, miastem gubernjalnem a Pińczowem nie kursował codziennie jakiś omnibus?

Że trudno nie podzielać sprawiedliwego oburzenia i dążności w kierunku dobra społecznego, przeto Ogrodziński w milczeniu potakiwał Skrzekowskiemu i nareszcie rzekł:

— Masz pan zupełną słuszność; ale cóż zrobić?

Dotychczas, gdy się spotkali, zawsze była mowa tylko o literaturze:

— Jakże pan referent znajduje ostatnią powieść Rodziewiczówny w Kurjerze?

— Przyznam się panu, wolę tych starszych autorów: Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego.

Dziś po raz pierwszy napoczęli sprawę społeczną, praktyczną.

— My chrześcijanie — mówił poważnie prowizor, zawijając dla Mordki proszek antipirynowy — nie posiadamy ducha solidarności... Słowo honoru daję, żydzi nas przewyższają.

Czapnik nastawił oba uszy i w milczeniu rozważał, co to jest „duch solidarności“, a Skrzekowski tak dalej ciągnął:

— Nie chodzi tu o budowanie koleji żelaznej, ani przeprowadzanie linji tramwajowej, choć i to dałoby się zrobić, gdybyśmy się wszyscy poczuwali do solidarności. Tymczasem „unitis viribus“ możnaby kupić parę koni, omnibus i byłaby stała komunikacja. O zakład pójdę, że tu strat być nie może, a społeczeństwu odda się ogromną przysługę. Bo czy może się rozwijać cywilizacja bez komunikacji?... Powie kto — welocyped! Ale jedźże na welocypedzie do Buska przez Bogucice, albo do Kielc przez Kije! Jedno z dwojga: albo cię obedrą, albo psy rozszarpią.

— Ile też może kosztować para koni — zapytał pan Walenty, który czytał różne prace Smilesa i przychodzili mu na myśl liczni dobroczyńcy ludzkości.

W tej chwili Mordka mruknął wymownie na referenta, dając mu do zrozumienia:

— Miej się na baczności, nie rób interesu!

— Para dobrych koni kosztuje najwyżej dwieście do dwustu pięćdziesięciu rubli, a omnibus kryty — w naszym klimacie koniecznie kryty — pewnie drugie tyle.

— Kto wie, czybym do tego ręki nie przyłożył — mówił referent z namysłem. Tylko widzi pan, ja rozumiem współkę z ludźmi...

— O, ma się rozumieć! Ludzie, najpierwszy warunek! Jabym się tu z lada kim nie wdawał! Wspólnik musi być jak łza czysty! — wykrzykiwał Skrzekowski. Pan referent, ja i mam na myśli trzecią osobę, która pod każdym względem — słowem honoru ręczę — zasługuje na nasze zaufanie...

Nawiasem mówiąc, trzecią osobą na myśli prowizora była panna Aniela. Mordka chrząknął, mrugał oczyma, wykrzywiał usta, chciał w jakibądź sposób zwrócić na siebie uwagę Ogrodzińskiego, który się widocznie palił do projektu ustalenia komunikacji. Lichwiarz odzyskał dopiero spokój, kiedy referent wyrzekł:

— Ha, trzeba się zastanowić!

I z temi słowy uścisnął prawicę prowizora, zabrał pudełko z pigułkami, spiesząc na przechadzkę za mosty. Czapnik też bez zwłoki czasu za nim podążył, zatrzymał się tylko na podcieniu przez krótką chwilę, gdzie spostrzegł przekupkę z opuchniętą ręką i za trojaka sprzedał jej proszek antipiryny, jako lekarstwo na puchlinę. Taki na wszystkiem zrobi interes. Jeszcze pan Walenty nie przebył pierwszego

mostu, a już go Mordka dopędził i temi słowy wyrwał z zamyślenia:

— Pan referent myśli temu Skrzekowskiemu kupować konie, żeby on do Buska na bale jeździł?

Ogrodziński z roztargnieniem spojrzał na żyda, wzruszył ramionami i oschle odrzekł:

— Mój Mordka, ty się wcale nie znasz na takich rzeczach!

— Jak ja się nie mam znać, kiedy Icie, mój szwagier, jest furmanem w Pińczowie?... referent nie zna Icie? Jego ojciec, Nuchym całe życie handlował końmi ze szlachtą...

— To i cóż z tego? — spytał pan Walenty, niezadowolony, że mu lichwiarz zakłóca poważne rozmyślania.

— Nu, po co pan referent ma robić zły interes? Kto na furmaństwie zarobi?

— Dajcie mi pokój! — zawołał niecierpliwie Ogrodziński i mówił dalej, jakby sam do siebie; — Tu chodzi o stałą komunikację, a on mi o furmaństwie!

— Jaka stała, jaka „konikacja“ — pomrukiwał Czapnik: przystanął na skraju drugiego mostu i spoglądał za referentem, pomykającym samotnie w kierunku Skrzypiowa. Pieniądz w kieszeni takiego dobrodusznego, miękkiego człowieka był do wzięcia, a tu się wymykał i widocznie lazł w ręce inne, nie Mordki, którego teraz aż złość brała.

— Aj, ty głupi dureń! — bąknął zły, rozżalony lichwiarz i zawrócił do domu. W miarę tego, jak się zbliżał ku ognisku rodzinnemu, prądy nowych myśli powstawały w jego ruchliwym umyśle i nowe uczucia ożywiły serce. Mordka bowiem postawił sobie teraz takie pytanie:

— Czy nie można zrobić interesu na pragnieniu referenta zaprowadzenia w Pińczowie stałej komunikacji?

Sam sobie dał odpowiedź płodną w bogate nadzieje. Uradowany własnym pomysłem, przystanął przed straganem, gdzie Małka, stara żydówka z czerwonemi, zaropiałemi oczyma, sprzedawała makagigi, pierniki, farbowane cukierki, i za dwa grosze wytargował garść tych przysmaków dla dzieci. W domu obdzielił łakociami garnący się do niego drobiazg, pogłaskał najmłodsze dziecko, które z objęć matki wyciągało lepkie od brudu rączęta, zaszwargotał do żony, pytał, czy owczarz z Szańca nie przychodził wykupić korali, zastawionych miesiąc temu. Krótko zabawił, poszedł na rynek i zatrzymał się przed zajazdem, gdzie na ławeczce zwykle odprawiał czaty rudy faktor, Kasztan. Faktora wypytywał Czapnik o komornika, który przed trzema dniami przybył na posadę z Stopnicy: potem go badał, co wie o dzierżawcy z Koperni, poszukującym od tygodnia pieniędzy na zapłacenie podatków. Otrzymał wiadomości pocieszające: komornik — człowiek wesoły, lubi zjeść, wypić, w karty zagrać, pewnie bez pożyczki nie wytrwa, dzierżawca do tego czasu pieniędzy nie dostał i niezawodnie warunki Mordki przyjmie, a tymczasem gra u Fajbusia w bilard. Lichwiarz, nie tracąc czasu, poszedł teraz do swego szwagra. Furman Icie był to wysoki, chudy chłop, o ponurym, dzikim wyrazie twarzy i oczu.

Pogodny uśmiech szczęścia życiowego nigdy nie postał na jego ustach zaciętych, otoczonych wełną zrudziałego włosia. Brudny, cały w łachmanach, ruchający się, nosił wyraźnie na sobie wyryte piętno: „z prochu i błota ziemi powstałeś!“ Jaki pan, taki kram. Narzędzia i warsztat pracy Icia stanowiły trzy szkielety zwierzęce, istnie apokaliptyczne potwory godne pędzla mistrza Chełmońskiego. Mógł zrozumieć całą nędzę życia ten, kto jeden raz widział Icia, jego budę z płótna zczerniałego, pełną łat, dziur, i owe trzy szkapy oślepłe, schudzone, poodparzane, oparszywiałe, kulejące, z obitemi bokami, z resztkami wystrzępionych ogonów. A jednak gwiazda sławy świeciła nad tym człowiekiem. Co najmniej, w pięciomilowym promieniu nie było takiego szynkarza, pachciarza, faktora, handlarza, któryby nie znał i nie cenił Icia furmana. Po ojcu, głośnym handlarzu koni, odziedziczył w spadku zawód i nieco towaru; ale syn prześcignął ojca w sztuce podrabiania koniom zębów i utajania różnych ich kalectw. Już się dorabiał majątku, kiedy dosięgła go mściwa ręka sprawiedliwości i nielitościwie osadziła w więzieniu za sprzedawanie po jarmarkach koni kradzionych. Cały dorobek zmarniał, a w dodatku Icie, po powrocie z więzienia, utracił prawo prowadzenia handlu końmi. Został furmanem, nie spuszczał z oka dawnych stosunków, a jako biegły rzeczoznawca, bywał i tak nieraz ludziom użyteczny. Szwagra Mordkę powitał Icie w swoich progach bardzo obojętnie, zaledwie coś mruknął pod nosem, zerknął nań z podełba, nie przerywając sobie ogryzania kostek gotowanej kury, której nogi i skrzydła sterczały z miski, zastawionej na stole. Szwargotali najprzód półsłówkami; znać było, że Icie zbywał zapytania szwagra, dopóki nie ogryzł ostatniej kostki kury. Teraz ich szwargotanie ożywiało się już coraz bardziej: pytania i odpowiedzi żwawo następowały jedne po drugich. Pod koniec rozmowy powstał gwałtowny harmider, jaki zwykle wybucha, kiedy się żydzi targują o zyski spodziewane. Nareszcie nastąpiła cisza, szwagrowie widocznie doszli do porozumienia. W przekładzie na język polski tak się to przedstawia: „Icie, czy możesz mieć na każde moje zawołanie konie do sprzedania?“ — „Co za konie? — pytał furman, dając do zrozumienia, że koń koniowi nie równy ze względu na cenę i przeznaczenie. Mordka wyjaśnił, że mu chodzi o parę koni

pociągowych w cenie około dwustu rubli. Na to Icie odrzekł szwagrowi: „Czy to ma być mój, czy twój interes?“ — „Kiedy ja to robię, to mój! — „Po co się wdajesz w koński interes? Ty pieniądze pożyczaj na procent!“ — Czapnik tłómaczył, że to może być interes mieszany: nawpół koński, nawpół lichwiarski, inaczej mówiąc — współka koniokrada z lichwiarzem. I tu właśnie wybuchnął spór o zyski za skórę żywego jeszcze niedźwiedzia. Ale przecie kruk krukowi oka nie wykole. Lichwiarz opowiadał teraz w tajemnicy każdemu, kogo spotkał, o zamiarach Ogrodzińskiego zaprowadzenia stałej komunikacji. Zjawiła się w Pińczowie niebawem opinja publiczna, czynnik, wobec którego jednostka ludzka nie może być bierną. Jedni wyrażali uznanie dla Walusia: „Czyn chwalebny, niema co mówić! Położy niespożytą zasługę!“ Oględniejsi w sądach mówili z powątpiewaniam: „No, no, zobaczymy“. Inni, skrajna lewica — że ich tak nazwiemy — wydrwiwali Ogrodzińskiego, powtarzając: „Referent zaprowadza pociągi spacerowe między Pińczowem a księżycem“. Panna Aniela, obecnie gorąca stronniczka referenta, poczuwała się do obowiązku bronienia otwartego sprawy komunikacji na wieczorkach tańcujących i balikach. Gromiła ją z tego powodu lekceważąco pani konsyljarzowa mniej więcej temi słowy:

— Zdaniem mego męża, Ogrodziński jest to konstytucja nawskroś neuropatyczna. Czy pani wie, że taki neurostenik uważa się nieraz za Archimedesa, ponieważ pozostaje pod wpływem halucynacji, czyli omamień?... Któż widział brać grę chorobliwie podrażnionej wyobraźni za proces mózgu normalnego?

Referent przychodził teraz już do apteki codziennie, choć i nie potrzebował pigułek: rozwijał tutaj swój pomysł, a opowiadania o tem, co w mieście mówią, podniecały go nadzwyczajnie. Gorąco pragnął godnie odpowiedzieć oczekiwaniom takich, którzy pokładali w nim ufność. Jednocześnie ambicja nakazywała mu postawić na swojem wbrew przekonaniom wątpiących i drwinkarzy.

— Otóż, daję słowo, komunikacja stanąć musi! — Tak sobie powiedział zacięty w postanowieniu pan Walenty i zabrał się niezwłocznie do spisania warunków umowy współki, które nazajutrz Skrzekowski i panna Aniela podpisali bez najmniejszego wahania.

— Między uczciwymi ludźmi zbyteczne są jakieś wątpliwości, skrupuły — powiedział prowizor, wręczając referentowi egzemplarz umowy, zaopatrzonej w podpisy.

Najgłówniejszy punkt w owej umowie opiewał, że wszelkie wydatki, zyski, straty rozdzielają się między troje wspólników w częściach równych. Ogrodziński bez straty czasu zajął się następnie wypracowaniem dokładnego kosztorysu, przyczem doszedł do przekonania, że, aby nie zamęczać codziennym kursem nieszczęśliwych zwierząt, współka powinna zakupić dwie pary koni. Prowizor i panna Aniela zgodzili się chętnie i na ten wniosek. Upraszano tylko referenta, aby raczył tymczasowo z własnej kieszeni wydatkować, przez co się uniknie drobnych rachunków i uprości sposób ich prowadzenia.

— Ależ ma się rozumieć! — zawołał pan Walenty. — Podstawą naszej spółki jest wzajemna ufność i dobra wiara.

Rozrzewnił się Skrzekowski, referent — także i przy tej sposobności jeden drugiego serdecznie za rękę ściskał, a w policzek całował.

Z rysunkiem omnibusu własnego pomysłu zwrócił się teraz Ogrodziński do kołodzieja i przy zamówieniu wyliczył z własnej kieszeni zadatek. Współcześnie z kołodziejem rymarz pracował nad uprzężą na dwie pary koni, a Kasztan faktor, otrzymał polecenie, ażeby zawczasu myszkował, czy jaki okoliczny właściciel ziemski nie ma do zbycia zdrowych i silnych koni zaprzęgowych. Któryś z lepiej zagospodarowanych mieszczan pińczowskich podjął się przygotować dla współki stajnię na cztery konie i szopę na omnibus. Poszukiwano też na wszystkie strony woźnicy, człowieka trzeźwego, dbałego, statecznego, któremuby można było powierzyć za oczy konie i brykę. Kołodziej i kowal pracowali tak pośpiesznie, że jeszcze szopa nie była gotowa, a już jednego dnia Pińczów ujrzał wielką, na szafirowo lakierowaną budę, którą czeladź kołodzieja własnemi rękami zatoczyła przed okna mieszkania referenta. Licznie zebrany tłum zdaleka i zbliska podziwiał to zjawisko, a małe dzieci radośnym okrzykiem powitały omnibus komunikacji pińczowskiej. Podczas oględzin ukończonego dzieła zaniepokoiła pana Walentego myśl:

— A jeżeli się zdarzy pasażerka, nie mogąca znosić dymu papierosów i cygar?

Rzecz prosta, w omnibusie takim muszą być dwa przedziały: dla palących i niepalących. I okazała buda na kołach, odprowadzana przez gawiedź, wróciła do kołodzieja.

—Aj, aj, jaki ja głupi żyd!—mówił teraz Czapnik przy spotkaniu z Ogrodzińskim. — Nu, nie ja jeden!... Mądrzy panowie, katoliki, także nie wierzyli, żeby pan referent zrobił rzecz taką śliczną. Z przeproszeniem pańskiem, czy ja mogę powiedzi słówko jedno?

— Proszę, niech Mordka mówi.

— Jakby pan referent chciał na ten interes pieniędzy, to one będą... Aj, aj, taki śliczny interes!

— Nie potrzebujemy pieniędzy, mój Mordka! — odparł Waluś, chcąc się pozbyć lichwiarza, ponieważ sobie postanowił podczas

tej właśnie przechadzki ułożyć instrukcję dla woźnicy omnibusu. Wprawdzie Skrzekowski dowodził, że się nie obejdzie bez konduktora; ale referent był przeciwnego zdania, co, jak dotąd, stanowiło jedyną kosteczkę niezgody między wspólnikami. Kosztowną posadę konduktora zastąpił dzwonek pomysłu Ogrodzińskiego, zawieszony nad głową furmana, a połączony taśmą z pasażerskiemi przedziałami w omnibusie.

— Osoba konduktora — mówił pan Walenty — jest dla wygody pasażerów, którzy i bez niego mogą życzenia swoje przesyłać woźnicy za pomocą dzwonka. Dajmy na to, jeden dzwonek jest sygnałem — stój! Podwójny dzwonek może wyrażać życzenie — pośpieszaj! Trzy dzwonki — omijaj wyboje! Cztery nie pędź koni!

— W czasie podróży — twierdził prowizor — zdarzyć się mogą przypadki, gdzie tylko człowiek inteligentny rozstrzygać może... Bo cóż zrobi, panie referencie, furman, jeżeli ktoś naprzykład będzie niegrzecznie natrętny względem dobrze wychowanej kobiety?

(Dok. nast.).

Rozbiory i sprawozdania.

Dr. Kazimierz Twardowski. Psychologja w obec fizjologji i filozofji. Lwów 1897.

Psychologja zajmuje obecnie pierwszorzędne stanowisko w szeregu umiejętności. Na jej danych opiera się cała nasza wiedza. Wskazując, co możemy, a czego nie możemy poznać, zakreśla ona granice, do jakich nasze badania mogą dotrzeć, oraz wyznacza drogi, jakiemi w swych dociekaniach musimy postępować. W niej nareszcie znajdujemy ostateczne wyjaśnienie zagadnień, jakie naszemu umysłowi nastręcza doświadczenie życiowe. Obecne swe stanowisko zawdzięcza ona głównie temu, że się wyzwoliła z objęć metafizyki, która, paraliżując swem tchnieniem usypiającem jej ruchy, kazała jej przez tyle wieków obracać się w zaklętem kole pojęć z góry powziętych. Z racjonalnej stała się ona umiejętnością doświadczalną.

Dzieje tego wyzwolenia się psychologji, oraz dzisiejsze jej stanowisko i stosunek do pokrewnych jej nauk, jakiemi są: fizjologja i filozofja, przedstawia dokładnie, acz w ogólnych zarysach pr. Twardowski, w broszurce, której tytuł wypisany jest na czele niniejszego sprawozdania.

Że jednakże psychologja nie zupełnie jeszcze wyzwoliła się z pod wpływu metafizyki, dowodem tego jest sam autor. W swej broszurze przemawia on, jako wyznawca doświadczalnego kierunku filozofji, dla którego wszelkie zakusy metafizyczne są rojeniami bez wartości. Pomimo to w swem wystąpieniu przeciwko materjalizmowi ucieka się do argumentów, które są natury czysto metafizycznej. Zaznaczając twierdzenie materjalizmu, że czynność umysłowa jest funkcją mózgu we właściwem znaczeniu tego wyrazu, upatruje stanowcze jego zaprzeczenie w „jedności i ciągłości życia umysłowego“. Tymczasem nie podobna uznać za fakt doświadczalny ani jedności, ani ciągłości życia umysłowego. Co więcej, o jedności życia umysłowego mowy nawet być nie może. Wiadomo bowiem każdemu z własnego doswiadczenia, ile sprzeczności zachodzi w naszych myślach, uczuciach i chęciach, sprzeczności, wobec których największe wysilenia woli pozostają nieraz bezskutecznemi. Widocznie, że przez życie umysłowe rozumie autor świadomość siebie, lecz i w tym razie jedność świadomości nie jest ani tak absolutna, ani tak stała, ażeby mogła służyć za dowód wystarczający, że „czynności umysłowej nie wykonywa w zupełności i wyłącznie mózg“. Co się zaś tyczy ciągłości życia umysłowego, to świadczą przeciwko niej takie stany, jak omdlenie i inne chorobowe przypadłości, które się odznaczają ustaniem świadomości, bezprzytomnością. Zresztą, ciągłość życia umysłowego bynajmniej nie sprzeciwia się twierdzeniu, że życie umysłowe jest funkcją mózgu. To też, gdyby materjalizm miał do walczenia tylko z powyższemi argumentami, nie potrzebowałby obawiać się o swą przyszłość. Na nieszczęście, zanim upewni się o swym losie, musi on wprzód uporać się z cięższym przeciwko sobie zarzutem, a mianowicie, że takiej materji, o jakiej on nam prawi, zgoła nie znamy, że jest ona taką samą fikcją metafizyczną, lubo w innym kierunku, jak i ciągłość życia umysłowego.

Władysław Kozłowski (Lwów).

Pomyłki druku.

W art. Dr. Alfonsa Erlickiego »Wykłady kliniczne«, umieszczonym w 26 nr. »Tygodnia«.

Str. 201. 15 w. z dołu druga szpalta
Zamiast: *w*ewnętrzne = *z*ewnętrzne.

Str. 202. 18 w. z dołu, pierwsza szpalta
zamiast: rozumieć = *z*rozumieć
zamiast: ja bez = *jako* bez.
5 w. z dołu, pierwsza szpalta
zamiast: kwalifikacja = klasyfikacja
17 w. z góry, druga szpalta
zamiast: tra*w*matyczne = tra*u*matyczne.

Z drukarni Z. Goloba we Lwowie